

Zróbmy sobie Polskę

12 czerwca 2013

Sceny z dzieciństwa, pewnie na siebie nałożone. Dworzec PKP w Poznaniu, charakterystyczne drewniane, długie ławki w poczekalni, późna godzina, czarno-biały telewizor wysoko na stojaku. Byle jakie żółtawe światło niezbyt ostro maluje scenerię. Druga połowa lat osiemdziesiątych. Zmęczeni ludzie, robotnicy, inteligencja, „niebieskie ptaki” Polski Ludowej, niektóre twarze prawie jak z „Korkociągu” Marka Piwowskiego. Czekam z Rodzicami na pociąg. Telewizor migocze jedynie słusznym śnieżeniem, partia czuwa i troszczy się, ludzie siedzą, przygaszeni, cisi. Mężczyzna oddaje mocz w rogu sali. – Nie patrz, synku – słyszę. Ale patrzę, patrzę, bo już kształtują się nawyki i matryca postrzegania rzeczywistości, kształtuje się zmysł wychytujący turpizm, zaczyna obserwacja ojczystych cieni. Dobrze rozumiem frazę: „Czy byłeś kiedyś w Kutnie na dworcu w nocy: / Jest tak brudno i brzydko, że pękają oczy”. I to był w dużej mierze PRL, nieprzefiltrowany przez bareizmy, socjał-resentymenty, propagandę postkomunizmu – niemartyrologiczny, cwaniacko-oślizgło-beznadziejny, zepchnięty do ogólnonarodowej podświadomości jako historyczna trauma i wstyd.

2013 rok, wiosna, dworzec PKP w Poznaniu, a właściwie dwa dworce: stary i nowy. Już po 22.00. Na zewnątrz nagła burza. Nie ma gdzie usiąść – na starym dworcu Straż Ochrony Kolei przegania ludzi z niewielkiej poczekalni, chyba cudem ocalałej obok małej kawiarenki. Zielony kolor ścian, niewygodne krzesła, kilka stolików. Poczekalnie, takie z prawdziwego zdarzenia, zlikwidowano na starym dworcu, a na nowym nie ma ich wcale. Są sieciowe kawiarnie, automaty z koncernowymi słodyczami i napojami. Zatem podróżni stoją, siedzą na walizkach w dworcowym hallu, jak intruzi, jak ludzie niepotrzebni. Bo nie ma przestrzeni publicznej na dworcach urządzonych wedle logiki realnego liberalizmu. Bo prawie nie

ma przestrzeni publicznej w kraju realnego liberalizmu.

Myślę czasem, skąd to, ta dzisiejsza niechęć i niezrozumienie rzeczy wspólnych. I jedna myśl świta mi w głowie, gdy tak nakładam na siebie te obrazy – dziecięce i współczesne. Że to wszystko z choroby, z choroby wstydu i nieumiejętności, choroby ucieczki i niezadowolenia, z choroby bezradności i zubożenia – uciekliśmy od przestrzeni publicznej, wspólnej, jednoczącej. Zbiegliśmy w te wszystkie wsobności i odosobnienia, w strategię indywidualnego przetrwania, popychani kolanem, kuksańcami, marchewką, złudzeniem, sukcesem, gniewem, nadzieją – żeby już nie siedzieć w żółto-mglistym świetle PRL-owskiej poczekalni. Wyrwaliśmy się ku światłu neonów i reklam, sycącym wzrok barwom opakowań batoników, proszków do prania, wyrwaliśmy się z piekiełka zapuszczonej przestrzeni publicznej do lepszego świata. Zatrzasnęliśmy drzwi za brudem, od którego pękały oczy, i za ciepłem praśnych, ale wspólnych miejsc. Nie pytaliśmy – pytać nie było kogo – co właściwie urządzimy sobie w zamian.

Mamy zatem swój kraj. Wypasione bryki stoją na światłach, pada gwałtowny deszcz, drogi są dziurawe, nawet te wielkomiejskie. Wypasione bryki niemal jak amfibie, w tych dziurach zalanych zbełtaną deszczówką, która spływa niemrawo pod ziemię, rynsztokami. Mamy wypasione bryki i dziurawe drogi, mamy rosnący dobrobyt i rosnące ubóstwo oraz niedofinansowanie infrastruktury publicznej. Nasi dziadkowie i rodzice już dawno zostawili na złomie maluchy, sprowadzili sobie zachodnie auta z niemieckich złomowisk. Albo kupili coś na kredyt, albo za gotówkę – bo przecież dobrodziejstwo transformacji, przejście ze świata Gorzej-Być-Nie-Może do świata realnego liberalizmu, wielu jednak się opłacało.

Ale gdy trzeba było ciągnąć ku sobie, gryźć, drapać, ustawiać się, rozpychać – to w kurzu bitewnym Wielkiej Wojny Przepoczwarczenia Ustrojowego nie widać było za dobrze, jak znika przestrzeń publiczna. I – prawdę mówiąc – kto się dorobił, nie widział potrzeby, by za nią płakać. Bo na co

dworzec kolejowy szczęśliwemu posiadaczowi sprawnego samochodu, sprowadzonego z Niemiec? Wreszcie można było się odseparować, wyłączyć z ogółu, który kojarzył się bardziej z kolejką niż z przygaszoną „Solidarnością”, wyjść z tej śmierdzącej poczekalni. Nareszcie można było zjeść batonika, popić słodkim napojem z plastiku, zmienić szarawy proszek „Ixi” na taki pachnący, z granulkami, wyremontować kuchnię, łazienkę, zacząć żyć, konsumować, być i tyć. O, błogosławiona wsobności życia w III Rzeczypospolitej! O, święta obojętności wobec śmierdzącej ojczyzny! Zróbmy sobie inną! No to zrobiliśmy...

Wiem, brzydko piszę. Wypadałoby trochę socjalistycznej litości dla Polski Ludowej i nieco prawicowego, mało zobowiązującego wzruszenia nad umęczoną ojczyzną. Kłopot w tym, że tak się nie da. Bo z ziemi peerelowskiej do trzeciopolskiej przeszliśmy jednak dość obrzydliwie, choć może trudno było inaczej. A skąd ta obrzydliwość? Bo tę Polskę nisko wyceniliśmy i szybko rozparcelowaliśmy, nie daliśmy sobie i jej większych szans, żeby coś wspólnego dla wszystkich z niej ocalić – fizycznie, nie nadrealnie. Przetransferowaliśmy tę Polskę do własnych kieszeni i ona tam teraz cicho pobrzękuje judaszowym groszem. I gdy się dobrze wsłuchać, słychać ją zarówno z kieszeni starych esbeków, jak i prawdziwych Polaków. I z kieszeni małomiasteczkowego urzędnika, i z portfela zasłużonych dla budowania społeczeństwa obywatelskiego. A o czym ta Polska brzęczy, o czym kwili? Kto wie, może o tym, że jej tam wygodniej i lepiej niż w peerelowskiej poczekalni. Bo przecież, powiedzmy to jasno, ona w ciągu stuleci chyba do tego przywykła, że trafia z kieszeni do kieszeni, a zakładam, że źle się jednak czuła w żółtym poblasku peerelowskiej poczekalni, pełnej ludzi, którzy przestali już wierzyć megafonom. A może i tam było jej nie najgorzej? Gdy parowała ciepłą strużką uryny na dworcowej poczekalni, gdy wlatywała pod niebo robociarskimi modlitwami pod stoczniovą bramą, gdy siedziała w szkolnej stołówce, przełykając szpinak i kożuch od mleka oraz drobiła fluoryzowanymi zębami cienko krojoną

kiełbasę. Nie wiem, Polska jest małowówna, zamknięta w sobie jak latami poniewierana kobieta.

Oczywiście, teraz jest ładniej i niekiedy całkiem sensownie. To duży plus. Do tego mamy demokrację, czyli hegemonię zapętleń polityczno-biznesowo-medialnych. Mamy pluralizm środków masowego przekazu, czyli dużo propagandy plus nisze dla kontestatorów. Mamy wreszcie uznanie dla prywatnej własności, czyli społeczeństwo szybko organizujące się w systemie rosnącego rozwarstwienia ekonomiczno-kulturowego. Mamy ciepłą wodę w kranach, marsze niepodległości, marsze szmat i grupy rekonstrukcyjne. Mamy IPN, wycieczki do Egiptu, ołtarze na Boże Ciało tuż przy „Biedronce”, mamy też awangardę postępu, wielką księgę cipek, Janusza Palikota, giełdę i Jeremiego Mordasewicza. Mamy Dzień Żołnierzy Wyklętych, zwęglone szczątki Jolanty Brzeskiej, „Pocztówkę z wakacji”, tanie kondomy „Conamore”, spór o in vitro, Amber Gold, rotmistrza Pileckiego, rok Tuwima, ogólnopolskie nieustające zawody całowania w dupę w ramach ścieżki (jakiejkolwiek) kariery zawodowej. Do tego mamy prasę codzienną i niecodzienne wydarzenia muzyczne, jak koncertowo spieprzone Ursynalia 2013. Jest kolorowo, jest dużo tematów na newsa, z których większość nie dotyczy tego, co powinna.

Dawno temu w miasteczku Śrem (a może był to Czemiń?) istniała knajpa „Kosmos”. Tam odlatywano naprawdę daleko, dalej niż Gagarin i Hermaszewski, fruowano na smugach smrodu znad szynkwasu, w oparach piwnej piany ściekającej po brzegach kufli z grubego szkła. Tam przeciętni obywatele Polski Ludowej śnili swój sen kolorowy, sen malowany. Czy byłeś kiedyś w knajpie „Kosmos”, w miasteczku, nocą? Brzydko było, pękały oczy, marynarki, szczęki, serca kobiet i mężczyzn, kurewek i taksówkarzy, badyłarzy i inteligentów. Aż zamknęli „Kosmos”. I zajaśniała jutrzienka swobody. I wyszli, i zatrzasnęli drzwi. Zobaczyli, że zaraz będzie lepiej.

I jest lepiej, bracia rodacy. Naprawdę jest lepiej, siostry. Wygraliśmy, dla nas wygrali oni. Mamy urocze knajpki,

estetyczne kubeczki z aromatyczną kawą, kolorowe drinki, młodzież hipsterską i tolerancyjną, chillouty – bo wyciszenia nam czasem trzeba, gdy już brak sił w zawodach w całowaniu w dupę. Tamci, te niedobitki z „Kosmosu”, z poczekalni, ze śnieżącego telewizora, to już nazwiska na nagrobkach, renciści i emeryci, zasłużeni politycy, zasobni biznesmeni, autorytety (a)moralne. I czy to ich wina, że nic więcej nie wiedzieli, że mogli tylko wyjść z „Kosmosu”, z poczekalni, z gmachu KC PZPR, zleźć ze styropianu, że mogli się sfrajerzyć lub wycwanić, trzecie nie było na ogół dane? Co oni winni, że mogli tylko uwierzyć, że będzie jak na Zachodzie, gdy się bary piwne zastąpi fast foodami, gdy się wyprzeda Polskę Ludową w ramach wielkiej, posezonowej, historycznej i geopolitycznej obniżki cen?

Chciałbym okłamać czytelnika, że czasem śni mi się ta peerelowska poczekalnia dworcowa, żółto-śmierdząca, że śni mi się katalog twarzy stamtąd. A we śnie gra nowoczesny telewizor i szarzy ludzie oglądają „Must be the music”. I mówią do mnie ze smutną miłością: „o taką Polskę dla Ciebie walczymy!”. Ale wcale mi się to nie śni. Może widzę we snach co innego: dwoje kochanków, szepczą do siebie – zrobmy sobie Polskę... Ale budzę się i czytam, że jednak demograficzny niż. I chce mi się śmiać, i wzruszyć ramionami, i krzyczeć. I zostać, i wyjechać.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)